

FELIKS BAUMANN.

Zemsta pod drzewem wiśniowym.

Stary mój riksza-kuli Sattoo miał wiele do opowiadania. Przeżywał w swym życiu różne wesołe i smutne historie i nieraz odgrywał rolę pośląca dla liścików miłosnych.

Gdy w pismach pojawiła się wiadomość o śmierci sławnego zapaśnika Kamia, przyszedł do mnie z pytaniem:

— Pisze pan do gazet?

Gdy potwierdziłem, oznajmił:

— Opowiem panu ciekawą historję. Teraz, wobec tego, że Kamio już nie żyje, mogę to zrobić bez obawy o swoje życie.

I Sattoo ją opowiadać:

— Było to jednego z tak zwanych gladiatorów, które zawsze poruszały całe Tokio. Tym razem chodziło o rozegranie mistrzostwa pomiędzy dwoma sławnymi zapaśnikami, szampionem wybrzeża Kamiem i szampionem łądu, Yentem. Oba pochodzili z rodzin zapaśniczych pełnej krwi. Już dziadkowie ich i ojcowie byli zapaśnikami i było prawem, że i żony tych ludzi pochodząły jedynie z rodów zapaśników. Widząc oba maszynowych siłaczy, te góry — zda się — tłuszczu i mięśni, uwierzyć było można, że „training“ ich, polegający na doborze pokarmów, nie był czcym przesadą tylko. Żyli się jedynie mięsem, jak tygrysy.

Kamio sprowadził ze sobą swoją piękną młodą żonę, o cudownych kształtach i prześlicznej twarzy, aby stała się świadkiem jego triumfu. Ale O Gin (Srebro) nie miała oczu dla popisu męża, podziwianego przez tłumy w przepelnionej arenie. Zrazu czuła się zlekka onieśmielona zbiegowiskiem ludzi i gwarem głosów, ale wkrótce spostrzegła dwoje palających oczu, przyglądających się jej uporczywie, pięknych oczu wytwornego oficera gwardji, Atako Ito i przyciągnięta jego wejrzeniem, patrzyła tylko na niego.

— Często widywałem wówczas porucznika Atako Ito i wkrótce dał mi list do żony zapaśnika. Listy z biegiem czasu stawały się coraz częstsze, a gdy przynosiłem mu na nie odpowiedź i wieczorem zawoziłem go do jej gaju kameljowego, wiedziałem, że O Gin tam czeka na niego.

Kamio nie zdradził się z niczem. Nie okazał ani podejrzenia ani zazdrości. Podstępnie z przebiegłością Azjaty, wyczekiwał sposobności do czynu, ale w duszy jego zawrzało, jak przekonałem się na sobie. Bowiem, któregoś dnia, gdy przyszedłem do jego domu, pytając o O Gin, ścisnął mnie tak silnie w swych potężnych ramionach, że utraciłem niemal przytomność.

— Teraz wiesz, co cię czeka, jeśli nie powiesz mi prawdy — rzekł — a więc, gdzie żona moja spotkać się ma dziś z wojakiem?

Wczytałem z jego wejrzenia, że tylko prawda uratować mnie może i oddałem mu list, przeznaczony dla O Gin. Przeczytał go i rzekł:

— Powiesz żonie mej, że spotkać się ma

z porucznikiem na zwykłym miejscu, pod drzewem wiśniowym, o wschodzie księżyca. I biada ci, jeśli które z nich ostrzeżesz.

Odszedłem w ciężkiej rozterce, z lękiem przed groźbą Kamia, z trwogą o zemstę kolegów oficera.

Sattoo zamilkł w zadumie.

— Dalej, dalej — nagliłem.

Rozpoczął po chwili znowu:

Na godzinę przed oznaczonym czasem pojawiła się olbrzymia postać siłacza. Rozjrzał się bacznie dokoła, a potem wdrapał się na drzewo i ukrył w gałęziach.

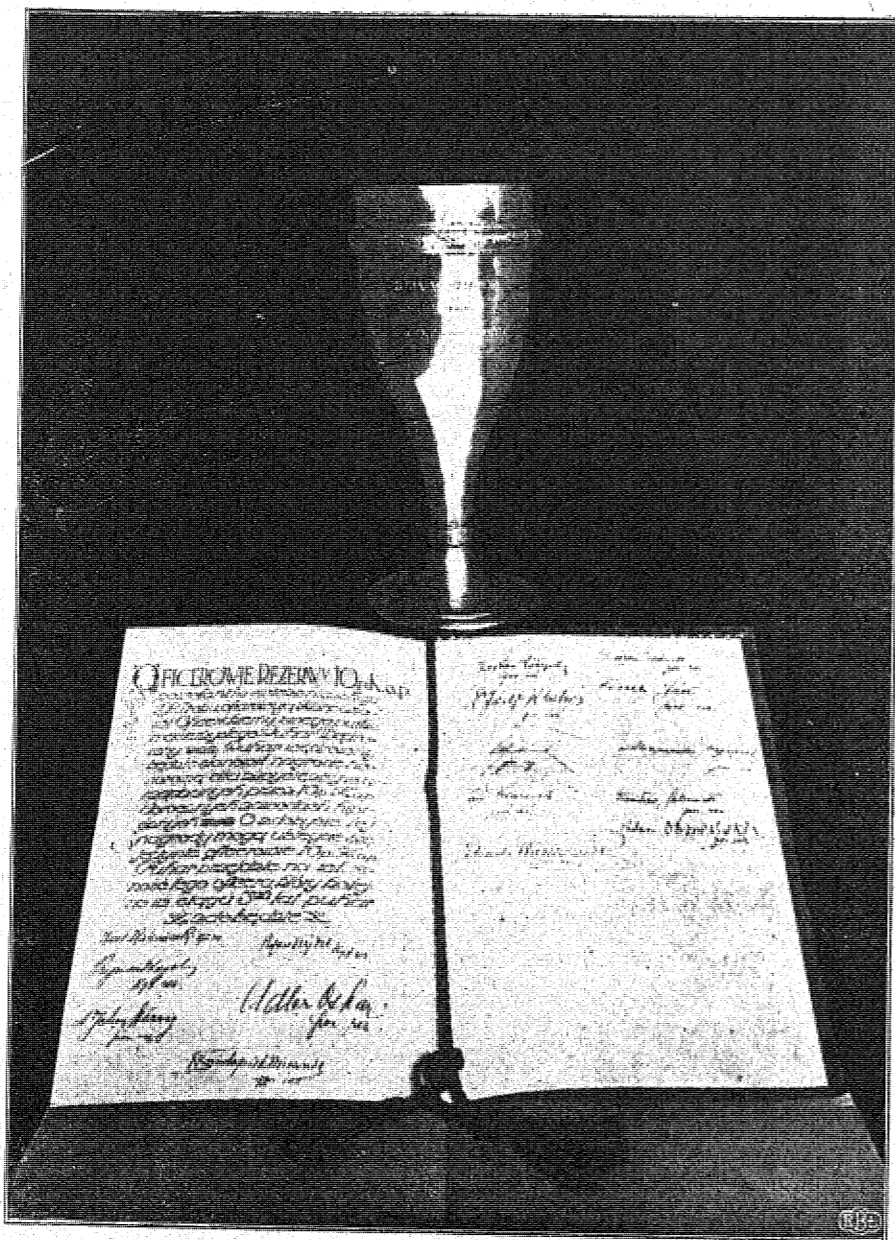
Wkrótce ukazała się elegancka postać porucznika, beztrząsco zbliżająca się do miejsca schadzki. W chwili, gdy O Gin, oglądając się bacznie, nadbiegła ku wiśni, pragnąłem rzucić się naprzód i ostrzec ich przed niebezpieczeństwem. Lecz groziło to nam pewną śmiercią.

Skoró tylko Atako Ito ujął O Gin w ramiona, szepcząc jej czule słowa, ciężka

mroczna masa zsunęła się z drzewa i zanim kochankowie spostrzec się zdołali, uchwyceni zostali jak w kleszcze w ramiona olbrzymia. Coraz ciśnień, coraz silniej zamykał się uścisk potężnych ramion przepelnionego mienawością i żądzą zemsty siłacza. Wschodzący księżyc oświetlił śmiertelnie blade, bezwolne oblicze O Gin, w milczeniu poddającej się okrutnej śmierci przez uduszenie. Atako Ito czynił rozpaczliwe wysiłki wydobycia się z objęć mistrza - zapaśnika. Ale i jego głowa opadła bezwładnie....

Sattoo przerwał na chwilę, a potem zakończył słowami:

— Nigdy nie wykryto tajemnicy tej strasznej tragedji. Nikt nie ośmielił się otwarcie oskarżyć Kamia. Dwadzieścia lat dźwigałem ciężar tego milczenia, z obawy przed zemstą Kamia. Śmierć jego rozwiązuje mi język, własnego zgonu czekać mogę w spokoju. (M).



Srebrny puhar wędrowny, ofiarowany 10 p. a. p. w Łodzi przez oficerów rezerwy tego pułku, zdobyty przez kpt. W. Baranowskiego na zawodach dn. 6-go b. m.



Rok V.

Niedziela, 20-go maja 1928 roku.

Nr 21.

Pierwsze Osiedla Robotnicze w Łodzi.



Łódź, miasto twórczej pracy polskiej i geniuszu ludzkiego, realizuje w szybkim tempie zainicjowane przez J. E. ks. biskupa dr. Tymienieckiego, a poparte przez ludzi dobrej woli, pomnikowe dzieło budowy pierwszych osiedli robotniczych. W dniu 13 b. m. nastąpiło uroczyste położenie i poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę domków kolonji robotniczej na terenach przedmieścia Karolewa. W uroczystości tej wzięli m. in. udział przybyli z Warszawy: prezes Banku Gospodarstwa Krajowego gen. dr. Roman Górecki oraz minister Niezabytowski. Powyżej moment z poświęcenia kamienia węgielnego i odczytowania aktu erekcyjnego. Fot A Meyer.

TEATRALIA.

„Zielony frak”. — Bałucki — jako pisarz historyczny. — Z teatrów berlińskich. — „Dybuk” w Paryżu. — Rozmaitości zagraniczne.

Bardzo dobrą porę wybrał Teatr Polski w Warszawie do wystawienia jednej z najgłośniejszych komedji spółki Caillavet - Flers, p. t. „Zielony frak”, która jest, jak wiadomo, miłym i zręcznym żartem scenicznym na podatny temat „czterdziestu nieśmiertelnych”. Sprawa Akademii Literackiej w Polsce, dzięki gorącym, nawet zawziętym polemikom, pro i contra, stoi dzisiaj u nas w środku zainteresowania świata literatury. Znajdujemy się niewątpliwie w przededniu powstania polskiego sympozjonu literackiego, w którym uczesnictwo promować będzie — w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od struktury tego sympozjonu — na stanowisko nieśmiertelnego. Czy będzie to, powtarzając concept de Lespinase, „nieśmiertelność dożywotnia” czy też bardziej długotrwała, tego dziś prześadzać nie należy, skoro dalecy od porozumienia są nawet najbardziej zainteresowani. Faktem jest wszakże, że doskonały przekład komedji o „zielonych frakach” akademickich, dokonany przez Lechonia, umiejętnie zaktualizował sztukę, zbliżył ją do nas w przestrzeni i w czasie.

Wytworna i zgrabna karykatura głupawych pretendentów do akademickich foteli pierwszorzędnego dowcip scenicznego i zabawność sytuacji, ilustrujących zabiegi kandydatów do instytucji „nieśmiertelnych”, — oto są niebyłejakie zalety „Zielonego fraka”, utrzymujące komedję w stanie świeżości i wdzięku. Przyjęto też ją z zadowoleniem i uznaniem, w czem miała zasługą bardzo fortunnej obrady, z asami scenyżymańskimi, pp. Leszczyńskim, Junoszą - Stępowskim, Modzelewską i in., na czele.

Interesujące z ogólniejszych i poważniejszych względów, wzniesienie mamy do zanotowania w Teatrze Krakowskim. Wystawiono mianowicie niegraną od lat 10 historyczną sztukę Bałuckiego p. t. „Kiliński”. Nie wszystkim zapewne wiadomo, że znakomity twórca Ciaputkiewiczów, Wistowskich i Fikalskich, maczelny reprezentant naszej komedji mieszczańskiej — Bałucki — postanowił sięgnąć wyobraźnią twórczą daleko poza skromny światek krakowskiej dulszczyzny (branej na wesoło), dając bardzo udatą i żywe widowisko sceniczne z dohy insurekcji Kościuszkowskiej i jej warszawskich refleksów politycznych. Wzorowany na „Kościuszcze” Anczyca — „Kiliński” posiada poważną wartość widowiskową i zalety konstrukcyjne bez porównania wyższe od swego pierwowzoru, tak jak Bałucki był technikiem sceny zdolniejszym aniżeli Anczyca.

Jeden z krytyków krakowskich, z okazji wzniesienia „Kilińskiego” opublikował z autografu arcyciekawy list Stanisława Koźmiana do Bałuckiego, zawierający ocenę sztuki. Biorąc pod uwagę poglądy polityczne autora listu, wręcz różne od ideologii zbrojnej i gwałtownej walki z przemocą za-



Moment odczytywania aktu erekcyjnego na uroczystości poświęcenia terenów pod budowę osiedli robotniczych w Łodzi. Na zdjęciu J. E. ks. biskup dr. Tymieniecki oraz przemysłowiec p. Osser, odczytujący akt erekcyjny. Fot. A. Meyer

borców, trzeba przyznać, że ocena ta wypada, jak to zaraz zobaczymy, tem więcej pochlebnie i — mimo pewne zastrzeżenia — przyznaje „Kilińskiemu” poważną rangę w twórczości Bałuckiego. W liście swym pisze Koźmian m. in.: Przeczytałem z zajęciem „Kilińskiego”, boć sam przedmiot przywiązuje do siebie, a prócz tego na każdej karcie znać wprawno pisarza scenicznego, jednego z najbardziej scenicznym naszych autorów. Zdaniem moim, utwór odpowiada wszelkim warunkom tak mazyńskim u nas sztuk ludowych i musi mieć powodzenie. Są reminiscencje „Kościuszkę” Anczyca, ale konieczne, nieuniknione; na śladownictwa nie dopatryłem się. Zdaje mi się, że koloryt epoki dobrze uchwyciły i, niestety (sic), aż nadto prawdziwy. Tendencyjnego przedstawienia rzeczy nie widzę, przeciwnie, pewną sprawiedliwość i równowagę. W dalszym ciągu Koźmian nie pomija okazji, by ze swego stanowiska ugody i t. zw. rozważy wyrazić ubolewanie z powodu „naszego porywania się z motyką na słońce”, i zakazuje list swój takim charakterystycznym pytaniem: „Pytam Pana, czy mogłoby być Twoim zamiarem zachęcać biednych warszawiaków, którzy znajdują się będą na przedstawieniach „Kilińskiego”, do pójścia za jego przykładem? A przecież taki morał polityczny wywnioskowałaby zwłaszcza młodzież..”

Koźmianowskie ubolewania i zastrzeżenia mają już dzisiaj, chwala Bogu, tylko znaczenie historyczne. „Kiliński” nie potrzebuje się liczyć z angusowem okiem i długimi rękami austriackiej czy rosyjskiej cenzury. Zagrano go w dobrej reżyserji i starannej oprawie dekoracyjnej w Teatrze Krakowskim, a wykonawcy ról głównych, w osobach pp. Sosnowskiego, Burnatowicza, Jarszewskiej rzetelnie zasłużyli sobie na gorące oklaski.

Wśród ostatnich nowości, wystawionych w teatrach berlińskich, brak zupełny utwo-

rów, posiadających poważniejszy ciężar gatunkowy pod jakimkolwiek względem. Są to, naogół biorąc, w zależności od tendencji i poglądów kierownictwa, bądź ekliwne sztuki quasi - patriotyczne, bądź ultra-radyczne nowaliki, propagowane przez p. Piscatora, bądź też zwykłe kryminalne bzdury amerykańskie czy inne, obliczone na tani efekt, niewybredny gust publiczności i — pełną kasę.

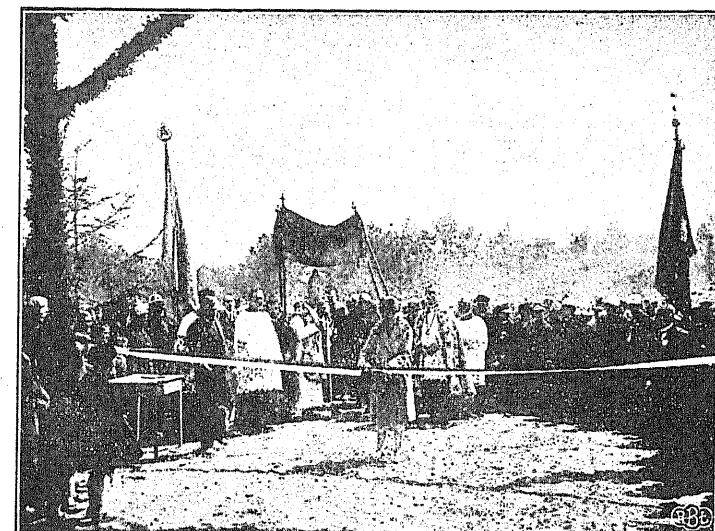
Do pierwszej z wymienionych wyżej kategorii należy Fritz v. Unruh — Książę Luwik Ferdynand Pruski. Jest to wcale nieciekawa apoteoza księcia Ludwika, który w epoce walki Prus z Napoleonem, był — zdaniem autora — jedyną osobistością w domu Hohenzollernów, mogącą wziąć na siebie brzemie tej walki, z nadzieją jej wygrania. Należy zaznaczyć, że sztuka Unruha, dość surowo obchodząca się z dynastją Hohenzollernów (wyjąwszy bohatera sztuki) zabroniona była przed wojną przez cenzurę i to chyba jest jedynym tytułem do dzisiejszego jej odkurzania.

Fischer - Piscator walczy z kapitalizmem przy usługach choć niedołężnej pomocy niejakiego Leona Lani, autora „Konjunktury”. Sztuka ta szyta jest tak grubą nicią politycznych tendencji, że wysuwają się one na plan pierwszy i bodaj jedyny, nie pozostawiając bodaj pola dla ujawnienia jakichś bardziej, z artystycznego punktu widzenia, wartościowych elementów budowy i pomysłu. Akcja toczy się wokół naftowych terenów w Albanji, które przechodząc z rąk do rąk kapitalistów różnych nacji, stają się wkłótcą kością niezgody pomiędzy mocarstwami i zarzewiem nowej, okrutnej wojny. Giełda i akcje naftowe — oto główni bohaterowie sztuki Lani'ego, która wystawiona została u Piscatora naturalnie w sposób bardzo nowoczesny, z zastosowaniem filmu, oryginalnych dekoracji i t. d.

„Broadway” — Dnmminga i Abbota,



W dniu 6 b. m. w Podębinie pod Łodzią odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego i terenów budowy wielkiego miasta-ogrodu w okolicach Tuszyńska. Na lewo Msza polowa, celebrowana przez J. E. ks. biskupa-sufragana dr. Tomczaka, na intencję pomyślnej realizacji planów pięknego dzieła; na prawo symboliczne przecięcie wstęgi w lasach podębińskich.



cieszający się w Berlinie ogromnym powodzeniem, jest typową kryminalistyczną (i kryminalną bodaj — również) bombą amerykańską, urozmaiconą popisami... baletowych girls'ów. Akcja rozgrywa się za kulisami mocnego teatryku nowojorskiego, a utrzymana jest w nastroju, potęgającym zaciekawienie mało-wybrednego widza. Wartości literackiej, rzecz prosta, „Broadway” nie posiada żadnej, taksamo zresztą, jak ogromna większość sztuk amerykańskich.

Paryski teatr „des Champs Elysées” pod dyrekcją Gastona Baty wystawił popularną sztukę An-skiego, graną po wielekroć razy m. in. w naszym Teatrze Miejskim, p. t. „Dybuk” (w przekładzie francuskim p. Kerner). Umiejętna reklama nadała sztuce rozgłos i podniosła do wysokiej potęgi posiadane przez nią bezsprzecznie walory. „Dybuka” przyjęła publiczność paryska z dużym zainteresowaniem, przedewszystkiem dzięki niezwykłości tematu i egzotychności kolorytu, tak odrębnego od przeciętnych wyobrażeń zachodnio-europejskiego umysłu. Mise-en-scène „Dybuka” w Paryżu było również oryginalne jak staranne. Eksperyment p. Baty'ego uwieńczyło powodzenie.

Delta.



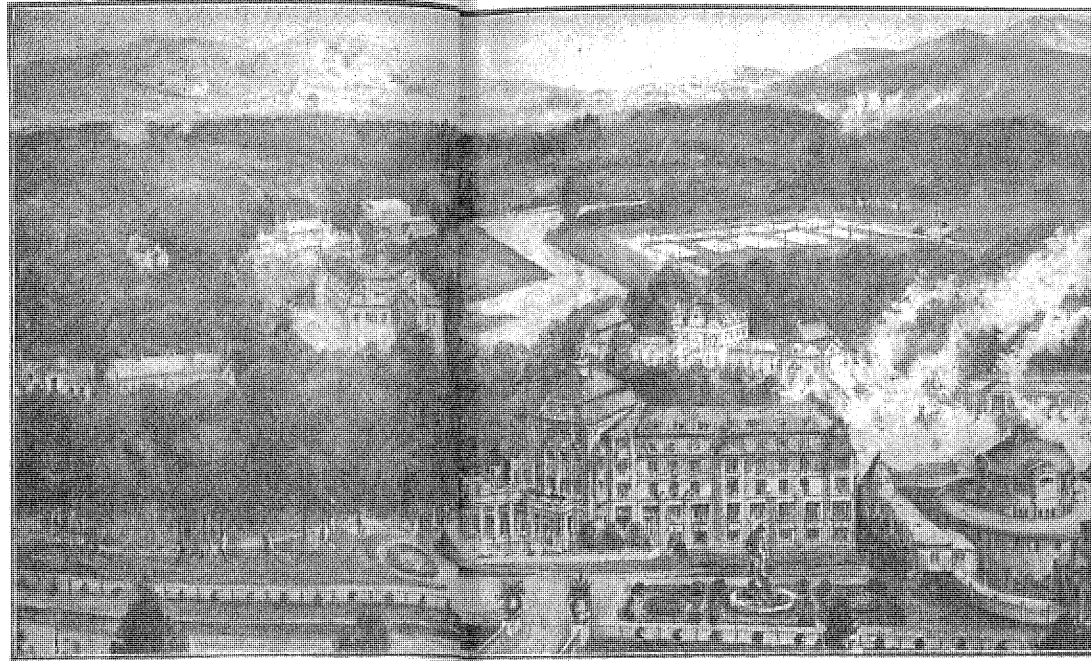
Grupa uczestników uroczystości podębińskich z J. E. ks. biskupem-sufraganem dr. Tomczakiem, starostą Rzewskim, dr. Skalskim, komendantem policji Niedzielskim, miejscowym ks. proboszczem oraz inspektorem Zawadzkiem na czele.



Obrady zjazdu delegatów Związku Pracowników Instytucji Użyteczności Publicznej w salach parku Helenowa w dniu 3 b. m. Fot. A. Meyer.



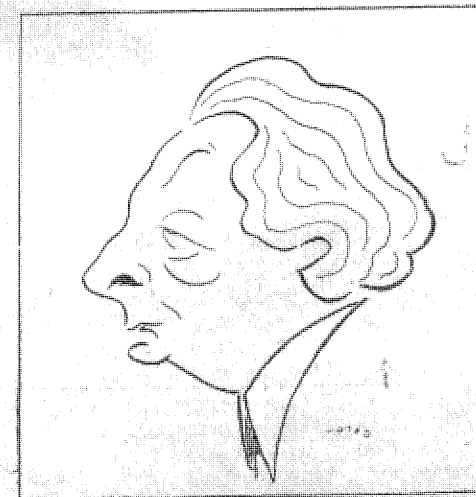
Amerykańska królowa piękności na rok 1928, uroczą miss Betty Dawson.



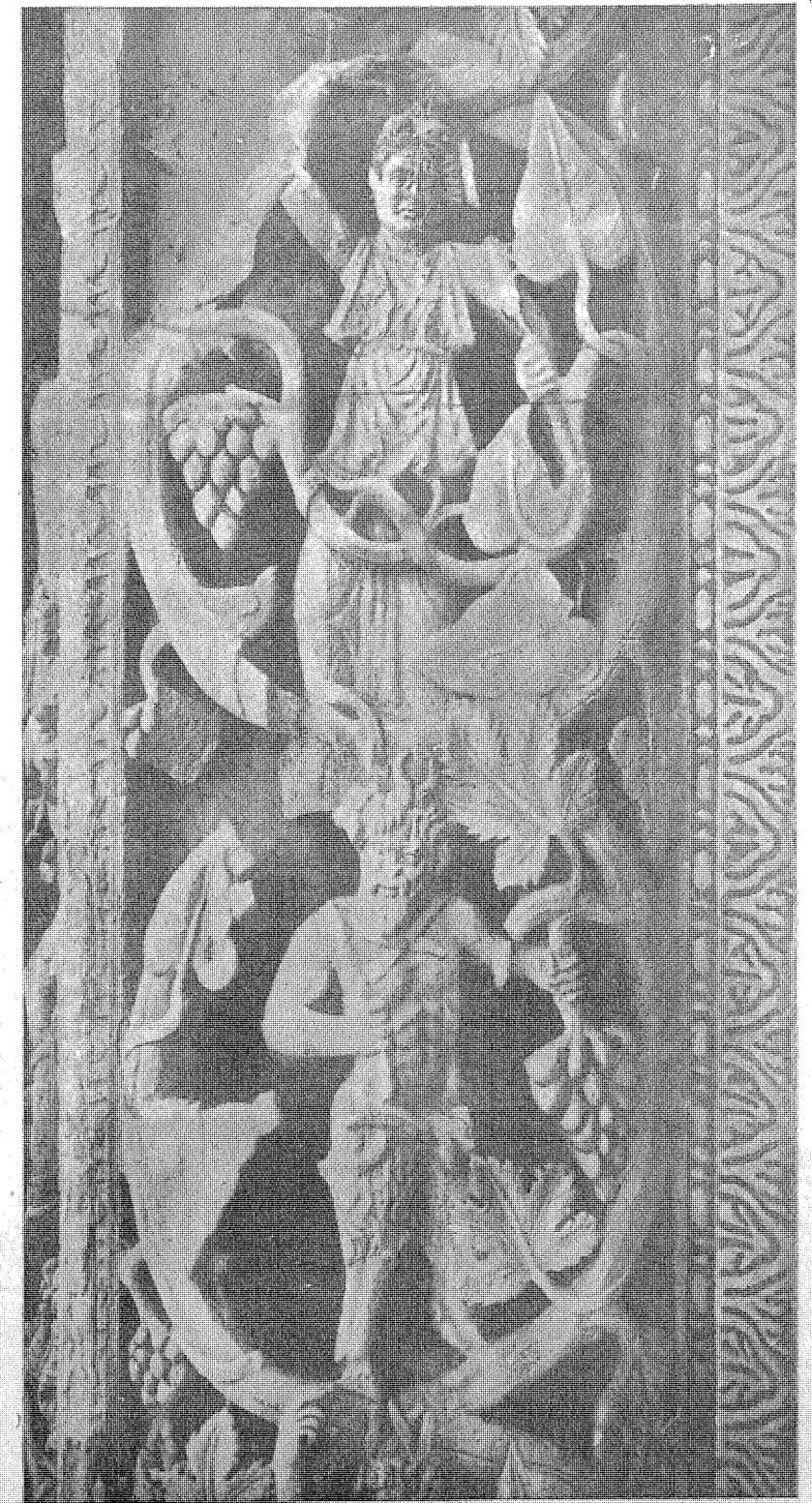
Panorama miejscowości kuracyjnej, Piesze, według obrazu, znajdującego się w zarządzie tego uzdrowiska.



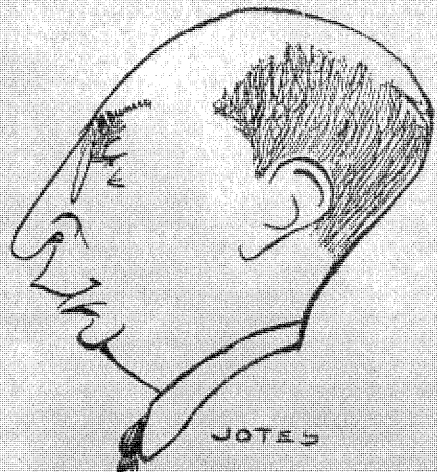
Fragment zrealizowanej w Hollywood wuja Toma.



Baletmistrz Opery Warszawskiej, p. Aleksander Sobiszewski, w karykaturze.



Fragment rzeźby jednego z filarów Bazyliki, wyobrażającej pochod Bachusa.



Znany w Polsce krytyk literacki, p. Antoni Słomiński w karykaturze.



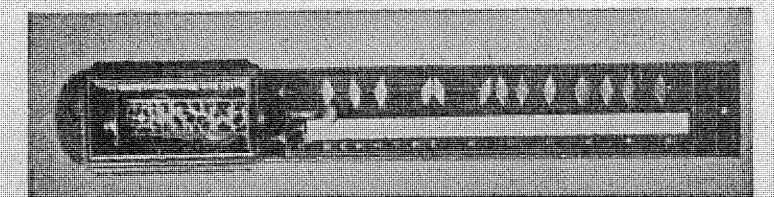
Dekorator teatrów warszawskich, prof. W. Drablik.



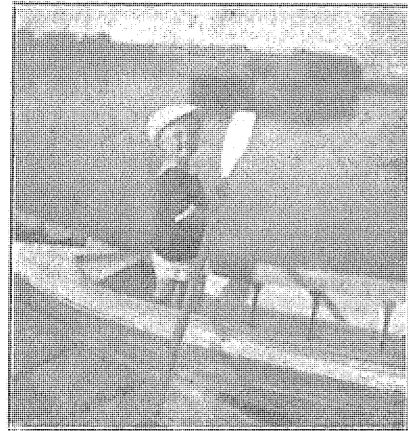
Fragment z najnowszego arcyfilmu „U. P. Corporation”.



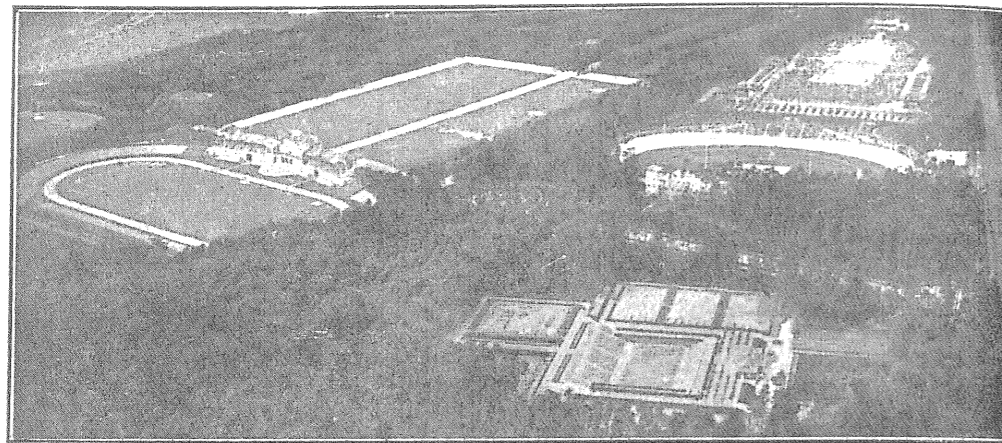
Gwiazda komedii polskiej, p. M. Cwiklińska.



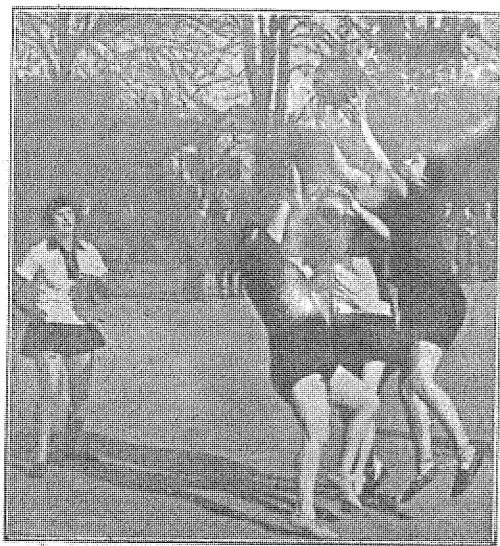
Sztandar japoński z 18 stulecia.



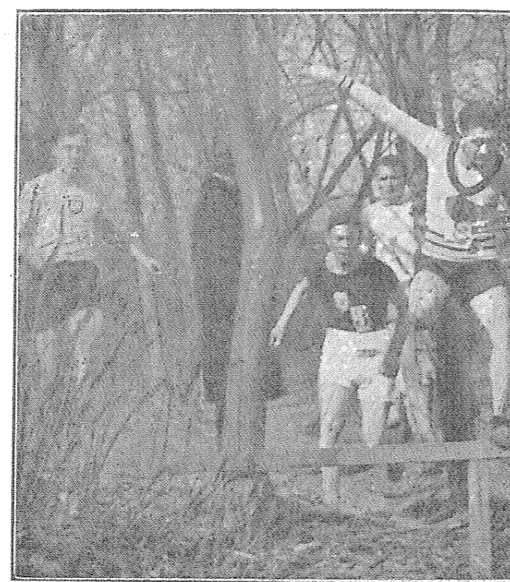
Najmłodszy wioślarz Polski.



Ogólny widok stadionu w Frankfurcie.



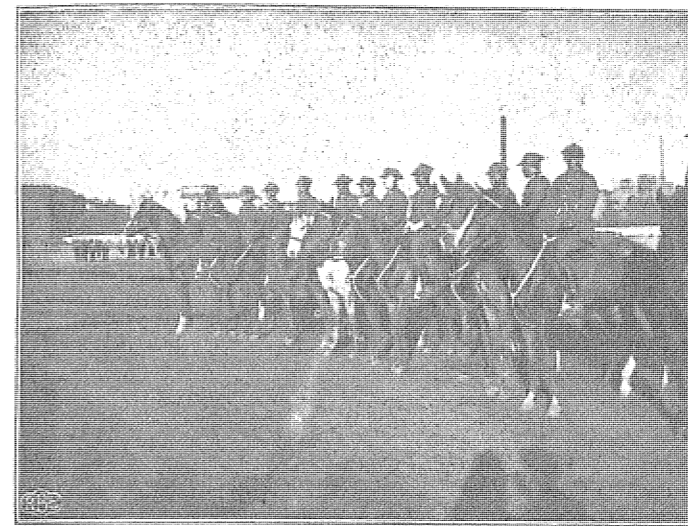
Moment z meczu Hazeny czołowych drużyn Czechosłowacji.



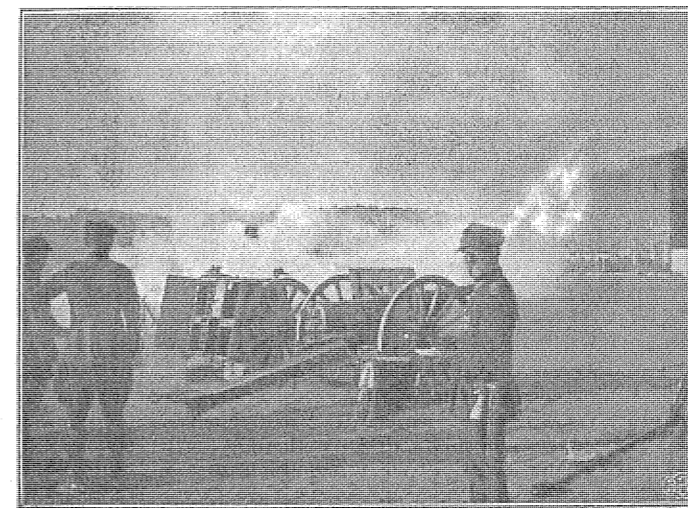
Na przeszkodzie.



Oto z jakimi trudnościami walczą angielscy uczniowie podczas wiosennych crossów.



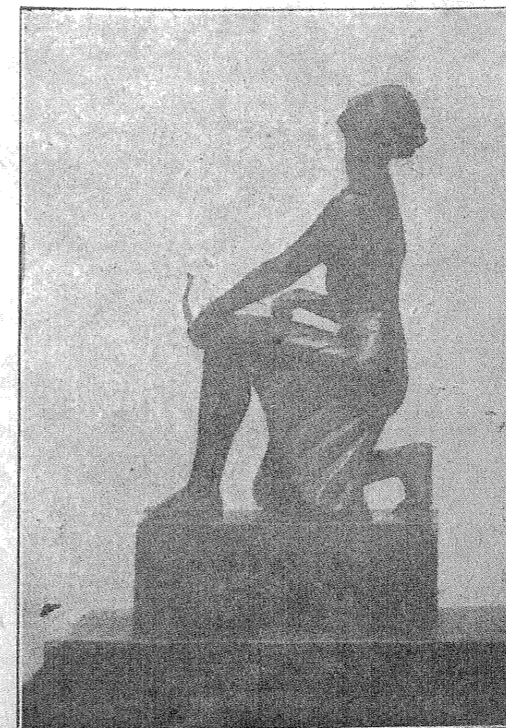
10 pułk artylerji polowej stacjonujący w Łodzi, obchodził tradycyjnym zwyczajem w dniu 6 b. m. dzień święta pułkowego. Wstępem uroczystości były efektowne zawody konne oficerów tego pułku oraz popisy sprawności artyleryjskiej na placu Hallera. Na lewo szpaler oficerów i podoficerów na koniach uczestniczących w zawodach hippicznych; na prawo zaś trybuna sędziowska; w głębi p. wojewoda Jaszczołt, starosta Rzewski i dowódca O. K. IV, gen. Malachowski.



Po wystrzale armatnim. Piękny moment zaimprovizowanego boju na popisach artyleryjskich 10 p. art. pol. w dniu 6 b. m. na placu Hallera.



Manewry oddziałów Przystosobienia Wojskowego w Stow. Sport. „Orię” w Łodzi. Odpoczynek po ćwiczeniach.



Apotheza łucznictwa. Rzeźba Olgi Niewskiej.



W dniu 13 b. m. Straż Ogniowa Ochotnicza w Łodzi święciła 52-letnią rocznicę swego istnienia i humanitarnej służby dla dobra publicznego. Powyżej grupa najstarszych i zasłużonych strażaków udekorowanych za wyługę lat. Fot. A. Meyer.

IGNAT HERRMANN.

Ten nicpoń Miodzik!

Przypominam sobie doskonale pana Miodzika z tych czasów, kiedy pod światłym kierunkiem nauczyciela Stiegliga rozpoczynałem zdobywanie wiedzy od elementarnych podstaw.

Pan Stieglig, człowiek zewszeczmiar go-dzien szacunku i zaufania, przebywał bardzo często w towarzystwie pana Miodzika i tego w żaden sposób zrozumieć nie mogłem, gdyż ilekroć spotykałem pana Miodzika, idąc z memi siostrami, ciotkami lub ich przyjaciółkami, widziałem, jak lekceważąco odpowiadały na jego uniżony ułkon i słyszałem niezmiennie to samo powiedzenie:

— To ten nicpoń Miodzik!

Kiedyś odważyłem się spytać najmłodszej siostry, jakim czynem zdobył sobie przyjaciel mego zacnego nauczyciela opinie nicponia.

— Unieszczęśliwił Kruszyńców! — krzyknęła w świętym oburzeniu, ale wnet opamiętała się i dodała:

— Ty tego jeszcze zrozumieć nie możesz...

Było to dawno. Dzisiaj znam dobrze historię, która zyskała panu Miodzikowi przydomek nicponia, ale przyznać muszę, że „zrozumieć“ jeszcze i teraz tego nie mogę więc opowiem wszystko, tak, jak było. Może ktoś przecież mi wyjaśni, dlaczego pan Miodzik jest nicponiem?

Kiedy piękna pogoda wywabiała mieszkańców naszego miasta hen, daleko, za rogatki, cała „śmietanka“ zbierała się w zajeździe u podnóża góry Zamkowej, odległej o godzinę drogi. Stoliki na werandzie i w ogródku były co niedziela szalenie obsadzone, tak, że nie znajdując wolnych, znajomi dosiadali się — a nieznanymi często zapoznawali. W ten to właśnie sposób zapoznali się pewnej niedzieli państwo Kruszyńowie z panem Miodzikiem.

Podczas rozmowy przy białej kawie z kożuszkami okazało się, że pan Miodzik od niedawna zawitał w naszym miasteczku i objął posadę buchaltera filii stołecznego banku, że państwo Kruszyńowie namiętnie lubią preferansa, ale grywają rzadko, bo nie mają trzeciego partnera, nie mogą przez wzgląd na dorosłą córkę któregoś z lekkomyślnych graczy miasteczkowych zaprosić do swego domu, że pan Miodzik jest zawołanym preferansistą i również nie grywa, nie chcąc spędzać wieczorów w zadymionym pokoiku restauracji, w której zbierają się czciciele zielonego stolika; że pan Kruszyńowa jest w ciągu całego tygodnia zajęty prowadzeniem swej fabryki mydła — ale w soboty po południu już zaczyna odpoczywać.

A wynikiem tej przygodnej znajomości i chaotycznej rozmowy było, iż odtąd pan Miodzik zjawiał się co sobota w gościnnym

domu państwa Kruszyńów, opowiadał ploteczki miejscowe i nowinki, wyczytane w gazetach, zjadał smaczną kolację, przygotowaną przez miłutką pannę Lolę i grał z gospodarzem w preferansa do dziesiątej wie czorem. Z uderzeniem tej godziny podnosił się z wygodnego, bordo pluszem krytego foteliku, żegnał się serdecznie i udawał do swego kawalerskiego zacisza.

Państwo Kruszyńowie po jego odejściu chwaliли zawsze przez kilka chwil układność, takt, solidny tryb życia i rozsądek pana Miodzika, („tak rzadkie w dzisiejszych czasach u młodego człowieka zalety!“) a panna Lola spuszczała wtedy główkę nad kanwową robótką, albo chowała konfitury na dolne półki kredensu.

Tak minął blisko rok. Kiedy nadszedł dzień imienin pana Miodzika, panna Lola podarowała mu własnoręcznie wyhaftowaną na morowej wstążce zakładkę do książki i upiekła słodkie migdałowe rogaliki do odświeżonej kolacji. To też pan Miodzik umiał się zrewanżować i w dzień imienin panny Loli przysłał jej piękny krzak kameliji, a podczas kolacji (również odświeżonej) powiedział piękny toast...

Po roku pan Miodzik otrzymał na imieniny haftowane pantofle, a panna Lola wachlarz z kości słoniowej...

Na trzecie imieniny dostał pan Miodzik ręcznie wypaloną szkatułkę na karty, a panna Lola porcelanową bombonierkę z różnokolorowymi pomadkami...

Partie preferansa odbywały się z niezmienną regularnością, a po za tem pan Miodzik towarzyszył państwu Kruszyńom w lecie na wycieczki do zajazdu pod Zamkową Górę, a w zimie na bale w miejscowym stowarzyszeniu śpiewaczem lub strzeleckim.

Dziwił się tylko pan Miodzik niebywale, że panna Lola, taka ładna, miła, gospodarna i posażna, nie miała starających, a gdy nawet jakiś młodzieniec usiłował jej asystować, przyjmowała to z odpychającą obojętnością, zaś pani Kruszyńowa wręcz dawała do zrozumienia, że jej te zaloty nie po myśli.

— Czyżby chcieli dziewczynę oddać do klasztoru? — zapytywał się nieraz w duchu.

I dziwił się jeszcze pan Miodzik pytającym, badawczym, wyczekującym niedługo spojrzeniem, jakimi obrzucali go coraz częściej państwo Kruszyńowie, a nawet cicha panna Lola...

Minęło jeszcze sześć wzajemnych podarków imieninowych. Panna Lola zbliżała się do trzydziestki, pan Miodzik do czterdziestki. Pan Kruszyńowa był podczas partii preferansa coraz bardziej małomówny, zajęty Kruszyńowa coraz bardziej roztargniona.

Pewnej soboty, właśnie kiedy pan Miodzik doprowadzał do świątecznego wyglądu swą garderobę, aby udać się do państwa Kruszyńów, zapukał do jego drzwi pan Kruszyńowa we własnej osobie. Pierwszy to raz

zjawiał się u pana Miodzika, ale ten, zawsze zrównoważony i taktowny, nie okazał ani zdziwienia, ani radości, tylko uprzejmie spytał, czem może mu służyć.

Zacinając się, jakając i czerwieniąc, wykrztusił wreszcie pan Kruszyńowa:

— Co pan właściwie zamierza?

— Zamierza? Z czem?

— Z moją córką, oczywiście. Z Lolą.

Pan Miodzik spojrział na swego rozmówcę osłupiałym wzrokiem. Pan Kruszyńowa szepnął wtedy:

— Proszę pana, to trwa przecież już ładnych parę lat.

Panu Miodzikowi wystąpiły na skroniach krople potu.

— Co trwa parę lat?

— A to, że pan chodzi z nami... to jest... z moją córką... chcę powiedzieć... z nami i z moją córką... I uważam, że gdyby pan chciał, to mogłoby się już dawno skończyć, a co się tyczy posagu, chętnie służę panu wyjaśnieniami...

Pan Miodzik umknął oczami od zalazwionych ze wzruszenia oczu pana Kruszyńy i wolno powiedział:

— Ależ ja chodziłem tylko na preferansa, panie Kruszyńowa. Ja o niczem innym nie myślałem...

Pan Kruszyńowa potoczył dokoła błędnym zmartwiałym wzrokiem, przeciągnął dworkość dłonią po czole, głęboko odetchnął, jak gdyby mu ktoś ścisnął gardło i rzucił do siebie samego:

— A myśmy odpalili sześciu konkurentów.

Pan Miodzik nie od razu odpowiedział. Poprawił złote binokle, zapiał dolny guzik marynarki i wreszcie szepnął, jakby przez sen:

— To szkoda! Tego nie powinni państwo byli robić...

Tego wieczora nie było partii preferansa. Nazajutrz pan Miodzik otrzymał mały bilecik i zrozumiał, że partii preferansa już wogóle nie będzie. Panna Lola wyjechała wkrótce potem na dwa tygodnie do Pragi, żeby się rozerwać i uspokoić.

Odtąd mówiono w miasteczku o panu Miodziku, że jest to nicpoń, który unieszczęśliwił Kruszyńów. A przecież pamiętam dobrze jaki dobroduszny, łagodny, niemal tępy wyraz twarzy miał „ten nicpoń Miodzik“.

Tłum. Ir.



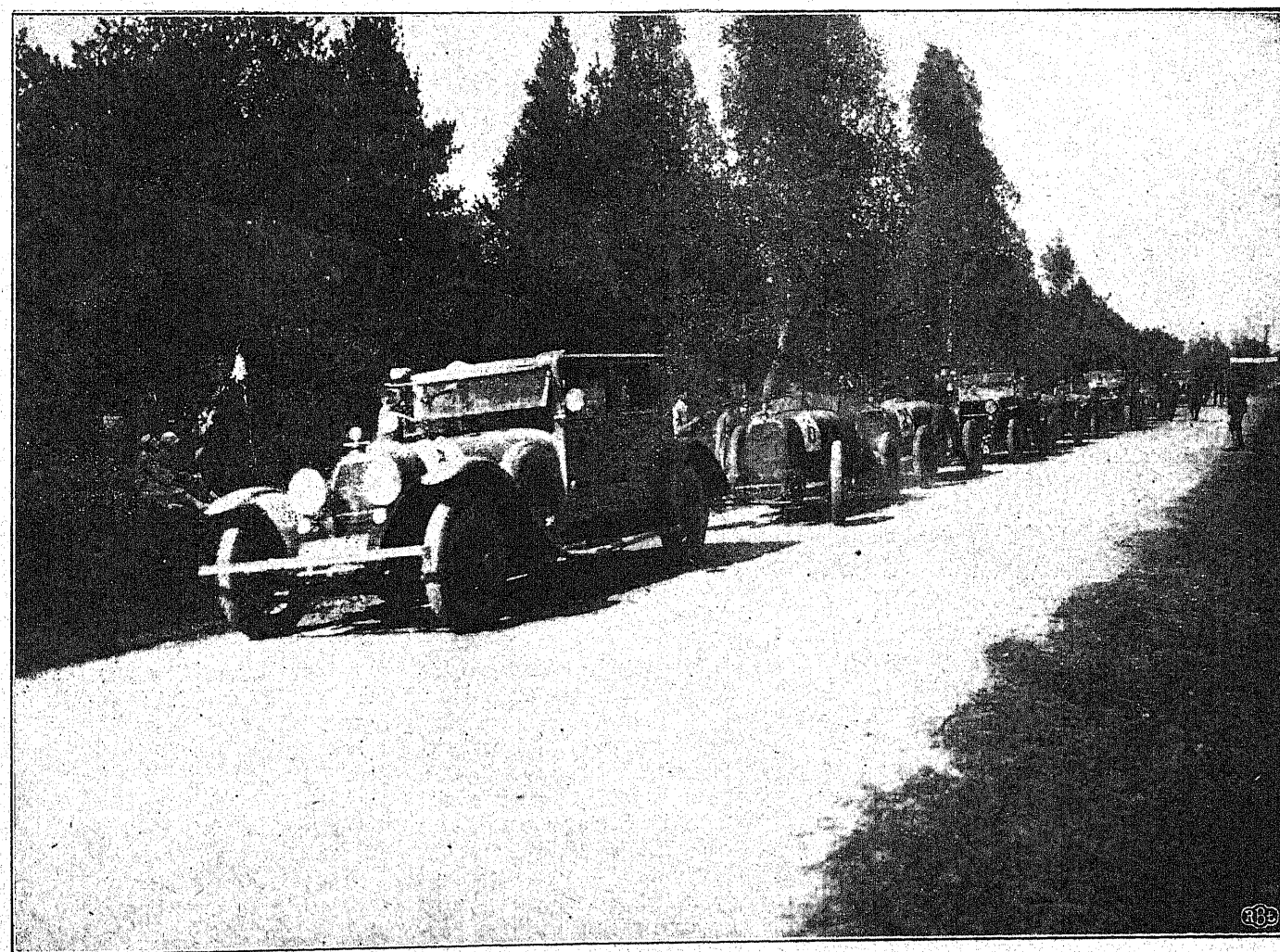
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Łódź, dnia 27 maja 1928 roku.

Nr 22.

Ze zjazdu gwiazdzistego do Łodzi.



Łódź w ubiegłą niedzielę wyglądała jak Detroit w miniatrze. Miasto kominów przez zjazd gwiazdzisty zmieniło swe codzienne oblicze, bowiem na ulicach od rana do późnej nocy warczały motory Buicków, Cadillaców, Fordów, Citroenów i tym podobnych rumaków benzynowych.

W godzinach popołudniowych wszystkie, biorące udział w zjeździe, auta ruszyły na szosę Aleksandrów—Lutomiersk, gdzie w obecności tysięcy spragnionych emocjonującego widowiska łodzian rozpoczęły się popisy i wycigi. Wspaniale prezentował się długi sznur kolorowych aut, mknących wśród zieleni drzew przydrożnych.

Fot. A. Meyer